

ALEKSANDER KEMBŁOWSKI

PIERWSZY DYPLOM

Nie sposób w krótkim zarysie scharakteryzować wszystkie wydarzenia sprzed 22 lat. Dlatego nie mogę nazwać tego pamiętnikiem, choć wszystkie przeżycia są autentyczne. Nie jest to także kronika działań jednego z pododdziałów WP, z którym jako dwudziestoletni podporucznik przeszedłem szlak bojowy ze Związku Radzieckiego przez Lubelszczyznę, Pomorze, Wielkopolskę i część Ziemi Lubuskiej, Dolny Śląsk i dalej przez Nysę Łużycką i ziemię czechosłowacką aż do Melnika pod Pragę.

Nigdy nie myślałem wówczas, że zamieszkać, założę rodzinę, będę żyć i pracować w pierwszej miejscowości dolnośląskiej, do której przybyłem i którą zobaczyłem.

W kwietniu 1945 r. pododdział, którym dowodziłem w składzie jednostek II Armii Wojska Polskiego, wyruszył z Oleśnicy kierując się na zachód i dalej przez Legnicę dotarł do okolic Ruszowa, położonego 14 km na wschód od Nysy Łużyckiej. Ruszów, nieduże leśne osiedle i stacja kolejowa na linii Żary—Lubań, nabrał w kwietniu 1945 r. szczególnego znaczenia. Z chwilą wyjścia wojsk I Frontu Ukraińskiego nad Nysę Łużycką, zagubiony w ogromnym masywie leśnym, stał się stacją wyładowniczą i ewakuacyjną. Tu przybywały transporty z wojskiem i zaopatrzeniem. Wraz z sąsiednimi stacjami Jagodzin i Węgliniec znalazł się Ruszów w strefie działań II Armii WP. Dzień 15 IV 1945 r. upłynął żołnierzom na odpoczynku. Z pewnym podnieceniem oczekiwali oni na bieg wydarzeń.

Wzmógł się ruch, gorączkowe przygotowania, zagęszczenie rejonu bronią pancerną wskazywały, że już tylko godziny dzielą nas od rozpoczęcia ofensywy. I rzeczywiście nie oczekiwano jej długo. Kanonada niezliczonej ilości dział i „katiusz”, wybuchy pocisków i bliskie detonacje poderwały żołnierzy na nogi. Wkrótce potem odezwały się cekaemy. Niebawem pojawili się pierwsi ranni oraz jeńcy.

Ciężkie Ju-88 i FW-190 z czarnymi krzyżami na skrzydłach bombardowały rejony przepraw, stację Ruzów i drogi przyfrontowe. Mój pododdział w godzinach rannych sforsował Nysę na północ od Rothenburga i po godzinnej zaciętej walce opanował pierwszą transeję nieprzyjaciela na lewym brzegu. Aczkolwiek 16 kwietnia do końca dnia nie zdobyto szeregu umocnionych miejscowości, to jednak nasze pododdziały przyczyniły się na tym odcinku do załamania oporu hitlerowców w pobliskim Rothenburgu.

O bezwzględnej kapitulacji Niemiec hitlerowskich dowiedzieliśmy się 10 czy 11 V 1945 r. na krótkim odpoczynku w malowniczo położonym miasteczku czeskim.

Po krótkim odpoczynku i spotkaniu naszej jednostki z ludnością w Melniku odbyła się defilada jednostek WP, którą przyjmował gen. K. Świerczewski. Następnego dnia nastąpił wymarsz w drogę powrotną do kraju. Czekwały tam na nas trudne i odpowiedzialne zadania. Rozkaz był zwięzły i zrozumiały: do godzin wieczornych 23 V 1945 r. obsadzić wschodni brzeg Odry na odcinku Góra Śląska, Szaszorowice, Poroszyn.

Pobyt w rejonie Góry Śląskiej trwał zaledwie kilka dni. Zgodnie z rozkazem 28 V 1945 r. wszystkie oddziały wyruszyły marszem forsownym w kierunku Nysy Łużyckiej, której wschodni brzeg — na północ od Zgorzelca — miał być obsadzony w godzinach wieczornych 1 VI 1945 r.

Po czterodniowym prawie marszu po zatłoczonych drogach, nad którymi unosiły się tumany kurzu i spalin z przejeżdżających samochodów, czołgów i ciągników, 31 maja w godzinach południowych dotarliśmy do celu. Dowódca batalionu natychmiast przydzielił rejony (odcinki) dla poszczególnych pododdziałów. Po krótkim odpoczynku i spożyciu posiłku odmaszerowały one do wykonania zadania. Po urządzeniu kwater i odpoczynku udałem się na drugi dzień z kapralem Modrzejewskim na wschodni brzeg Nysy celem rozpoznania terenu. 1 VI 1945 r. po usunięciu kilku min granica państwowa na Nysie Łużyckiej w kierunku na północ od Bielawy Dolnej została obstawiona.

Zadanie dla pododdziałów granicznych brzmiało: zamknąć rzekę Nysę. Do Polski wolno przepuszczać tylko Polaków, obywateli radzieckich oraz przedstawicieli innych narodowości powracających z obozów jenieckich i koncentracyjnych, a także zwarte oddziały polskie i radzieckie. Z Polski za Nysę mogły udawać się oddziały radzieckie oraz osoby posiadające przepustki graniczne wydane przez dowódcę dywizji lub władze cywilne i potwierdzone przez dowódcę dywizji.

Służba graniczna była dość niebezpieczna. Szczególnie w porze nocnej grupy przestępcze, przeważnie uzbrojone, starały się siłą wtargnąć do naszego kraju, aby prowadzić sabotaż, zastraszać, a nawet mordować

polskich osadników. W okolicznych lasach grasowały dobrze uzbrojone bandy hitlerowskie. Ale żołnierz polski był czujny. W wyniku kilku prób napadu na posterunki graniczne, a nawet koszary, bandy hitlerowskie ponosiły straty w ludziach i sprzęcie, aż w końcu całkowicie zostały zlikwidowane.

W pierwszej połowie lipca 1945 r. zgodnie z rozkazem odmaszerowaliśmy do wyznaczonych i opuszczonych majątków rolnych i wiosek celem przeprowadzenia zbioru zbóż.

Mojemu pododdziałowi przydzielono dwie duże wioski pomiędzy Zgorzelcem a Lubaniem. Po urządzeniu kwater i krótkim odpoczynku przystąpiono natychmiast do organizowania sprzętu i maszyn żniwnych. Wśród żołnierzy znaleźli się fachowcy mechanicy, którzy potrafili na czas przygotować (bez żadnych części zamiennych) częściowo zdewastowane traktory, snopowiązałki i żniwiarki, a także na wszelki wypadek kosy. Olbrzymie połacie zbóż dojrzewały. Trzeba było dużego wysiłku wszystkich żołnierzy, aby pierwsze żniwa na ziemiach naszych praocjów odbyły się sprawnie, aby każdy kłos został sprzątnięty na czas. Każdy żołnierz wiedział, że na zebrane zboże czeka ludność zniszczonego kraju oraz repatrianci i osadnicy wojskowi.

Żniwa przeprowadzono sprawnie. Wszyscy żołnierze, z miasta czy ze wsi, pracowali chętnie i wzorowo od wczesnego ranka do zachodu słońca. Kucharze i oborowi opiekowali się stadem kilkudziesięciu krów, które zawsze były wzorowo pielęgnowane, nakarmione i wydojone w takim czasie dnia, aby każdy żołnierz mógł otrzymać porcję mleka. Wyrabialiśmy nawet masło i inne produkty mleczne. Sprawnie i bez żadnych zakłóceń — wszystko dzięki ofiarności żołnierzy — odbyły się również omłoty zebranych zbóż, dostawa ziarna do wyznaczonych punktów, przydział zboża dla repatriantów oraz podorywki i siewy jesienne.

Po zakończeniu żniw, w końcu września, obchodzono uroczyste święto pułkowe i dożynki w Zgorzelcu. Mój pododdział został wyróżniony za wzorowe i sprawne przeprowadzenie żniw, a ja otrzymałem ponadto dyplom pamiątkowy następującej treści: „Dowództwo jednostki wyraża Wam podziękowanie za ofiarną pracę wykazaną przy wypełnianiu zadania bojowego — przeprowadzenia żniw na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich Rzeczypospolitej . . . Jak krew przelana na Nysie w walce z hitlerowskim faszyzmem, tak i pot, którym Wy zrosiliście prastarą ziemię piastowską, przyczyni się do utrwalenia polskości na naszych zachodnich rubieżach!”

Jesienią 1945 r. zostałem oddelegowany do Wrocławia, gdzie do lutego 1946 r. pełniłem funkcję zastępcy Wojskowego Komendanta Miasta. Trudna to była służba. Często z ruin i wypalonych budynków dywersanci i sabotażyści strzelali do wojskowych, milicjantów, a nawet do

osób cywilnych. Nawet 200 m od Dworca Głównego, na obecnej ul. Gen. K. Świerczewskiego, zaraz po zachodzie słońca wraz z ppor. Piłatem byliśmy zmuszeni czołgać się do najbliższych „zbawczych” ruin, gdyż z lewej strony, z 2 piętra wypalonego budynku strzelał do nas ktoś z automatu. Takie wypadki zdarzały się nawet w biały dzień. Jednakże Wrocław powoli, lecz systematycznie zaludniał się, nabierał życia.

Najgorszy okres minął bezpowrotnie, ale działaczy partyjnych i wojskowych, od szeregowca do oficera, czekała następna, tym razem wyłącznie polityczna walka — Referendum Ludowe. Już w drugiej dekadzie czerwca 1946 r. wyjechałem z grupą żołnierzy w okolice Szprotawy, aby prowadzić pracę polityczną wśród miejscowej ludności. Dużą pomoc naszej grupie okazali miejscowi osadnicy wojskowi. Ludność w tych okolicach była dobrze ustosunkowana do władzy ludowej. Jednak wroga propaganda przenikała i tutaj. Zdarzały się również sabotaże. Tak np. rozkręcono odcinek toru kolejowego na trasie Głogów—Żagań, a idąca wraz ze mną grupa żołnierzy została pewnego razu ostrzelana z broni maszynowej.

Po referendum wróciłem do garnizonu. W grudniu 1946 r. wyjechałem z pododdziałem do Głogowa, aby ochraniać grupy wojskowe, które brały udział w akcji przedwyborczej do Sejmu.

NA WOJNIE I PO WOJNIE

Już trzeci tydzień szukam swojej rodziny. Przez ten czas zjeździłem spory szmat wyzwolonej ziemi, znanej mi jedynie z przebytej frontowej drogi. Gdziekolwiek bym nie przystanął, na stacji, pytałem o transport repatriantów z Tarnopolskiego. Słyszałem zwykle od swoich informatorów jedną i tę samą odpowiedź: buczacki transport już jest w drodze na zachód, za tydzień najdalej powinien przekroczyć graniczny Przemysł. Odchodziłem wtedy ze spuszczoną głową, mocno przygnębiony. Nie widziałem przed sobą kresu poszukiwań. Dość miałem wojennej tułaczki. Często budziło się we mnie uczucie lęku i niepokoju o los najbliższych pozostawionych przed trzema laty w rodzinnym podolskim Buczaczu, gdzie grasowały ukraińskie bandy nacjonalistyczne. Legnicki dworzec kolejowy mimo nocy wrzał różnojęzycznym gwarem. Wśród podróźnych dostrzegłem wielu podobnych do mnie, w wyblakłych mundurach z lśniącym na polówce orzełkiem. Wśród nich rozpoznałem wiernego frontowego druha, który podobnie jak ja wypatrywał swoich. Przed oczyma stanęła mi zaraz ta czarna noc pod Budziszynem.

Zajęliśmy tej nocy pozycję obronną. Wyczekiwaliśmy ataku Niemców, żeby z kolei przejść do kontrataku. Leżeliśmy niepewni w okopach. Obok mnie zajął on stanowisko z cekaemem, a tuż przy nim Rosjanin Saszka z pepeszką. Lubiliśmy Saszkę wszyscy. Był bardzo wesoły i młody, liczył zaledwie 17 lat. Około północy ziemia zaczęła drżeć. Z odległego o jakieś 2 km lasu pluły ciągłym ogniem niemieckie działa. Przedpole walki oświetlone było ogniem broni maszynowej i rakiet. Nad głowami szumiały artyleryjskie pociski. I oto otrzymaliśmy rozkaz do ataku. Kierunek natarcia — wspomniany las. Krótkimi skokami zdobywaliśmy metr po metrze. Nasza artyleria wspomagała piechotę. Niemcy nie przerywali ognia. A my wciąż posuwaliśmy się do przodu. Co chwilę obok nas padał pocisk przysypując nas ziemią. Widziałem, jak padli moi towarzysze z pierwszej linii. Myślałem, że w każdej chwili podzielimy ich los. Padł kolejny pocisk tuż obok nas. Zaczęło się istne piekło. Słychać

było ludzkie jęki. Myślałem, że to już koniec. W każdej sekundzie przygotowany byłem na śmierć. Wtem Saszka zaczął z płaczem głośno wołać: mama, gdzie ty! Było to jego ostatnie żołnierskie westchnienie. Dosięgła go z lasu niemiecka kula. Wkrótce potem walka ucichła. Niemcy w popłochu cofali się. Żal nam było Saszki. Mógł przecież jeszcze być z nami.

We dwójkę kontynuowaliśmy teraz poszukiwania swoich rodzin. Zajechaliśmy do Poznania. Tu dowiedzieliśmy się, że jest jakiś transport na bocznicę. I wreszcie w przedostatnim wagonie, po latach tułaczki i poniewierki spotkałem swoje dzieci i staruszkę matkę. Nazajutrz transport nasz skierowano do Żar. Tu mieliśmy się osiedlić. Jak się później okazało, transport repatriantów podzielono na dwie części. Nasz wagon (trzy rodziny) skierowano do Zgorzelca. Wojskową podwodą dojechałem do wsi Dłużyna. Był październik 1945 r. Objąłem 7-hektarowe gospodarstwo. Mieszkali w nim jeszcze Niemcy (dwoje staruszków). Nie przeszkadzali mi, ale sama świadomość, że to Niemcy, przeciwko którym jeszcze niedawno walczyłem, nie dawała spokoju. W rozmowie z nimi (władałem nieco językiem niemieckim) dowiedziałem się, że ich jedyny syn, oficer, zginął pod Stalingradem. Gorzko go opłakiwali.

Któregoś dnia zaprosili mnie do siebie na wino. Byłem przezorny. Najpierw staruszek musiał wychylić kielich, potem dopiero ją skosztowałem. Było pyszne. Przypadkiem zważyłem za lustrem toaletki portret führera. Ogarnęła mnie złość. Spytałem, dlaczego jeszcze to przechowują. Niemiec nieco speszony odpowiedział: „On dla nas, Niemców, był bardzo dobry”. Chciałem ze złości cisnąć nim o ziemię. Powstrzymał mnie najstarszy mój syn. Od tego momentu wydawało mi się, że na górze trzymam cichego, ukrytego wroga. Zabroniłem swoim dzieciom wstępu na górę. Po prostu nie wierzyłem swoim lokatorom. Wciąż jeszcze czuli się co najmniej współwłaścicielami gospodarstwa. „Starego” na widok innego munduru i orzełka na czapce niemal krew zalewała. Zwykle odwracał się wtedy w drugą stronę. Wciąż liczyli na to, że tu pozostaną. Ba, nie tylko oni. Sporo osadników żyło z dnia na dzień, z myślą o tymczasowości pobytu na tych ziemiach.

Mimo późnej jesieni rzuciłem w ziemię pierwszą garść zboża. Wszyscy teraz we wsi mocno zastanawiali się nad jednym. Jakaż będzie teraz ta nasza kochana Polska. Zdania były bardzo podzielone. Jednym się śniła Polska od morza do morza. Inni twierdzili, że przyjedzie do nas Anders na białym koniu. Jeszcze inni łaknęli porządku przedwojennego. Byli i tacy, którzy wierzyli, że przyjdą tu Amerykanie. Najmocniej w polskość tych ziem wierzyli ci (w tej liczbie i ja), którzy o nią zbrojnie walczyli. A było ich we wsi sporo.

W 1966 r. w Toporowie (pow. Zgorzelec) odbył się zlot byłych uczestników walki z Niemcami w tamtym rejonie. Pojechałem i ja, żeby raz jeszcze po dwudziestu latach stanąć na skrawku ziemi nad Nysą Łużycką, gdzie kiedyś walczyłem. A było to w kwietniu 1945 r. Od rana pruszyło kapuśniaczką. Od czasu do czasu zza chmur wynurzały się wiosenne promienie słońca. Przybrzeżne kępy wikliny były na dobre zazielenione. Koło dwunastej w południe ruszyliśmy. Cel — przeprawa na drugi brzeg Nysy. Pod ciągłym ogniem broni maszynowej dotarliśmy do brzegu. Krzaczaste wierzby były dla nas, piechurów, wielkim sprzymierzeńcem. Ponadto osłaniały częściowo nasze czołgi. Niemcy panowali nad sytuacją. Pragnęli za wszelką cenę powstrzymać nas od forsowania rzeki. Nie trwało długo, gdy nad naszymi głowami pojawiły się „messer-smity”. Było ich kilkanaście. Rozpoczęły pikować niemal nad naszymi głowami, siejąc ogniem z broni maszynowej. Załoga jednego z naszych dział przeciwlotniczych składała się z rosyjskich dziewcząt. Przytulony plackiem do rozmokłej łąki słyszałem od czasu do czasu za sobą z tyłu kobiety rozkaz „ogoń”. Po tej komendzie nieprzyjacielska eskadra znalazła się w ogniu krzyżowym naszej pelotki. Jej łupem padły cztery samoloty. Pozostałym udało się zbiec. Jak się później okazało, wszystkie cztery samoloty zostały strącone ogniem działa z rosyjską kobietą obsługą. Okazało się, że kobiety na froncie to nie tylko sanitariuszki, ale i wyborowi strzelcy. Rozpoczęliśmy po tym nalocie forsowanie rzeki. Woda na szczęście w tym miejscu była płytka, niemniej przeraźliwie zimna. W asyście niezawodnych czołgów T34 ruszyliśmy całą parą. Co chwilę tu i ówdzie wokół nas rozrywały się niemieckie pociski artyleryjskie. Chwilę grozy przeżyłem, gdy nieopodal mnie w środek rzeki spadła bomba. Potężny słup wody wyrósł nad nami, a potem spadł na nas. To się nazywała prawdziwa wiosenna kąpiel. Moi najbliżsi z tej operacji wyszli bez szwanku. Nieco dalej było gorzej. Byli zabici i ranni. Pysznic postawił mnie mocno na nogi, oczywiście już na drugim brzegu Nysy. Poszliśmy dalej — kierunek Drezno.

Wspomniałem o dwóch zaledwie przeżyciach frontowych. One właśnie najbardziej utkwiły mi w pamięci. Było ich znacznie więcej. Czas wbrew naszej woli zaciera często przebytą frontową drogę. Dziś to już naprawdę historia. Dla niektórych, niestety, zapomniana, skoro po dwudziestu jeszcze latach myśla o odwiecie.